BEZPŁATNY
DODATEK DO „GŁOSU POMORZA"

ŚWIAT KOBIECY

Rola przypadku w życiu sławnych kobiet

Czy pomyśleli państwo kiedykolwiek o pierwszorzędnej roli, jaką odgrywa przypadek w naszym życiu? Wiele ze sławnych osobistości obecnej doby, z pewnością nie doszłoby do swej aktualnej godności i nie osiągnęłoby swego sukcesu, gdyby nie przypadek.

Bardzo często przy tym zdarza się, że dany osobnik zmienia kilkakrotnie swój zawód, zanim dojdzie do tego, który ma mu w przyszłości przynieść sławę.

Amelia Earhart — zaginiona lotniczka, jedna z największych sław kobiecych naszego wieku, nienawidziła po prostu mechaniki, gdy była dzieckiem. Gdy doszła do pełnoletności postanowiła zostać lekarzem. Było to jednak w czasie wojny i jej poczucie obywatelskiego obowiązku było silniejsze, niż powołanie. Porzuciwszy swoje studia, wstąpiła do szpitala, jako pielęgniarka i tam pracowała z całym poświęceniem, doglądając rannych, zajmując się apteczką polową, a nawet myjąc podłogi.

Wreszcie, po dłuższym czasie odezwało się w niej powołanie lotnicze. Amelia poczęła więc szukać zajęcia, któreby jej pozwoliło zebrać jak największą ilość pieniędzy i umożliwiło dojść do upragnionego celu.

Wkrótce późniejsza lotniczka wstąpiła jako sekretarka do Towarzystwa Telefonicznego. To drugie z kolei zajęcie Amelii nie było jeszcze ostatnim. Została ona bowiem jeszcze dziennikarką, fotografką i nauczycielką chemii, odkładając po trochu pieniądze na opłacanie nauki pilotażu. — W dłuższy czas potem dopiero, bo mając już 35 lat stała się Amelia lotniczką, by przez 10 lat zdumiewać ludzkość swymi nieustraszonymi wyczynami, dopóki nie zwyciężył jej nieubłagany żywioł morski.

Życie Raymonde Vincent, tegorocznej laureatki „Prix Femina" jest również przykładem nieprzewidzianych zwrotów losu, które ją w końcu doprowadziły do zajęcia wybitnego stanowiska w literaturze.

Urodziła się ona jako córka wieśniaków. Oddalenie chaty rodzinnej od szkoły, śmierć rodziców i konieczność pracy zarobkowej, sprawiła, że Raymonde do siedemnastego roku życia nie umiała w ogóle czytać ani pisać. Twarda praca na farmie nie pozostawiła jej wcale czasu na rozmyślanie, czy zastanawianie się nad życiem.

Gdy skończyła 13 lat przyjechała do Paryża, zainstalowała się na Montparnasse i zaczęła pozować malarzom, jako modelka. Obracając się w środowisku artystycznym, wchłonęła w siebie objawienie muzyki, malarstwa i literatury.

Wreszcie spotkała Alberta Beguin, profesora literatury, który został jej mężem i przewodnikiem zarazem w dziedzinie nauki i sztuki, aż wreszcie zaprowadził ją na piedestał sławy.

Sonia Henie, która od piątego roku życia uprawiała sport łyżwiarski, i poświęciła mu całą swą młodość zostając kilkakrotnie mistrzynią świata, z pewnością nie myślała, że jej ukochany sport zaprowadzi ją w końcu przed oblicze obiektywu filmowego. Obecnie Sonia Henie cieszy się ogromnym powodzeniem jako gwiazda filmowa i kto wie, czy nie zostanie „królową ekranu" na miejsce Grety Garbo.

Jean Batten, słynna francuska lotniczka-rekordzistka, przygotowywała się od dzieciństwa do kariery pianistki. Dopiero kiedy już skończyła gimnazjum i konserwatorium i została profesorką muzyki fortepianowej, odkryła w sobie pociąg do lotnictwa. Aby zdobyć pieniądze na ukończenie szkoły lotniczej, sprzedała swój fortepian i zaniechała w ogóle myśli o muzyce.

Tak to przypadek (a może przeznaczenie?) prowadzi człowieka przez burzliwe fale życia do jego właściwego powołania.

W chińskim hotelu

W Nan-Ningu, dawnej stolicy prowincji Kwangsi i zarazem drugim z rzędu mieście tej prowincji pod względem zaludnienia, jest kilka dużych hoteli chińskich, ale wśród nich — jeden dla „wybranych". „Wybrani" — to generałowie, prefekci i inni dygnitarze reżimu oraz nie liczni Europejczycy, którzy zabłąkają się czasem do tego czysto chińskiego miasta. Aby zamieszkać w tym hotelu, trzeba być polecony przynajmniej przez władze miejscowe, choć i to nie zawsze wystarcza, boć przecież stolica prowincji jest obecnie w Kweilinie. Co do mnie prosiłem generała, sprawującego władzę w Long Czeu, aby zechciał interweniować w tym względzie w Nan-Ningu. Taki to już kraj; aby dostać pokój w hotelu, trzeba interwencji czterech Europejczyków, zamieszkałych w Long Czeu, generał nie tylko obiecał, ale obietnicy dotrzymał (co w Chinach zdarza się nader rzadko). Zatelefonował osobiście do Nan-Ningu i uzyskał dla mnie... dwupokojowy apartament, rezerwowany zwykle dla gubernatora prowincji i generałów.

Hotel „wybranych" w Nan-Ningu rozczarował mnie, może właśnie dla tego, że był hotelem dla „elity". Zresztą, pełni on od niedawna stosunkowo swe nowe funkcje, gdyż jeszcze przed kilku miesiącami był po prostu kasynem oficerskim, zaopatrzonym w kilku pokoi dla przejezdnych. Od ulicy, wiecznie rozkopanej, oddzielał go mizerny ogródek, po którym, majestatycznym krokiem, przechadzał się stale szyldwach, w mundurze khaki, obuty wyjątkowo, i z olbrzymim mauzerem w ręku. Mauzery te tak bardzo spowszedniały już coprawda po kilku dniach pobytu w Chinach Kuomintangu, że nie zwraca się już na nie wcale uwagi. Czego tam pilnuje tak srogo ten uzbrojony żołnierz, nie wiem, prawdę powiedziawszy. W czasie mego pobytu w Nan-Ningu nie zamieszkiwał w hotelu-kasynie ani jeden wojskowy. Nie wiem jednak również, co robią w miastach chińskich żołnierze z mauzerami przed weterynaryjnymi.

Hotel „elity", jak już wyżej powiedziano, rozczarował mnie tedy. Nie było w nim nic specyficznie chińskiego. Na dole — sala bilardowa i jadalnia. Na górze — kilkanaście pokoi, umeblowanych po europejsku, z wybitnym zamiłowaniem do baroku (wszyscy Chińczycy kochają się w tej europejskiej ohydzie). Jedyną rzeczą oryginalną były termosy z gorącą herbatą w każdym pokoju oraz kompletny brak ręczników. W Chinach dwie osoby nie mogą dotknąć swych twarzy jednym i tym samym kawałkiem materii. Wiąże się to z chińskim pojęciem „oblicza", jako ucieleśnienia godności człowieka. Nie wiedziałem o tym i zażądałem ręcznika, tak, jak uczyniłbym to w każdym hotelu europejskim. Zacznijmy od tego, że przez dobrych piętnaście minut nie mogłem wytłumaczyć memu boy,owi chińskiemu, o co mi chodzi. W całym „reprezentacyjnym" hotelu nie było nikogo, ktoby rozumiał choć słowo w jakimkolwiek europejskim języku. Gdy wreszcie Chińczyk zrozumiał mniej więcej w czym rzecz, zrobił wielce dziwioną minę i przyniósł mi wreszcie, po pół godzinie, żądany przedmiot. Proszę wyobrazić sobie moje zdumienie, gdy mi koszt tego ręcznika umieszczono następnie w rachunku. Co kraj, to obyczaj. Dla nich ręcznik ten, skoro raz sobie nim twarz wytarłem, nie przedstawiał więcej żadnej wartości.

Daleko bardziej interesujący był drugi hotel chiński, ten dla zwykłych śmiertelników. Kilkupiętrowy, o dość obszernych, prawie pustych pokojach, oddzielonych przepierzeniami z desek, nie sięgającymi sufitu i zakończonymi kratami, robił wrażenie jakiegoś karawanseraju. Zachodziłem do tego hotelu kilkakrotnie, niekiedy w godzinach nocnych, interesowało mnie bowiem życie jego mieszkańców, i za każdym razem zadawałem sobie pytanie, kiedy właściwie ci ludzie śpią. Nie tylko brama hotelu, lecz wszystkie drzwi na piętrach i od pokojów były stale otwarte. Wszystkie pomieszczenia oświetlone były całą noc. Przez każdy z pokojów przewalał się stale, tam i z powrotem, tłum ludzi. Wszędzie rano w mah-jonga, brzdąkano na instrumentach, dysputowano, jedzono i palono opium. Wśród tłumu mężczyzn przewijały się śpiewaczki (coś w rodzaju gejsz chińskich), dzieciaki i masażystki, te ostatnie przeważnie niewidome. Wiadomo, że jeszcze dziś Chińczycy ze wsi sprzedają często swe córki, o ile są one urodziwe. Od kilku znawców Chin słyszałem natomiast okropny ciąg dalszy. Otóż, jeśli córki te nie są ładne, a rodzice nie mają środków na utrzymanie ich, oślepiają je jakoby, aby zapewnić im w ten sposób byt. Niewidome dziewczęta uczą się masażu (szeroko w Chinach praktykowanego), po czym, wzbudzając litość swym kalectwem, zyskują sobie liczną klientelę i kawałek chleba.

Dziwny i niepojęty, straszny i okrutny kraj!

Wyrobienie charakteru a stosunki towarzyskie

Współżycie z ludźmi wymaga nie tylko utrzymywania stosunków towarzyskich, ale także wyrobienie charakteru, aby stosunki te nie rwały się i nie przeradzały się w gorycz zawodu i niepokój intrygi, czy plotki.

Czasem chodzi o rzeczy zupełnie drobne. Otóż p. X. wybiera się z wizytą do pani Y. Dzwoni. Nikt nie otwiera. Dzwoni raz jeszcze. Ktoś podchodzi do drzwi, zagląda przez szparę, nie poznaje, pyta, wreszcie po szeregu długich minut dostaje odpowiedź, że pani domu musiała je opuścić i nie ma jej, gdyż wezwano ją telefonem do miasta.

Co z tego wynika? Właściwie jest to tylko prosty pech, wizytę należy odłożyć na kiedy indziej. A jednak odwiedzająca dama czuje się dotknięta, przy pierwszej okazji pokazuje to wyraźnie swojej znajomej. Bo już obraziło ją to, że na dźwięk dzwonka drzwi zaraz nie otworzono. Zapomina o tym, że i u niej w domu służąca nie otwiera prędzej, dopóki nie wie, kto stoi przy dzwonku. — Mógłby być człowiek obcy, który chce wtargnąć do mieszkania. A jednak — to już jest obraza. A potem to nagłe wyjście? Więc ów ważny telefon pojawia się właśnie wówczas, gdy ona przychodzi w odwiedziny? A może nie było tak wcale i tamta pani chciała ją umyślnie obrazić?

Podobnie dzieje się z przygodnym ukłonem na ulicy. Czasem ktoś zamyślony, czy bardzo zajęty nie dostrzeże znajomych, nawet siedząc niedaleko w tramwaju. Ale są osoby, które taki wypadek tłumaczą sobie jako chęć rozmyślnej zniewagi, obrażają się, rozgoryczają, nawet utrudniając życie sobie i innym.

Czasem znów chodzi o jakieś słówko niezręczne, wypowiedziane bez złej intencji. Można by je nie dosłyszeć, nie zwrócić na niego uwagi. Ale właśnie myśli się o tym wyrazie, czy sądzie przypadkowym, a zapomina wszystkich miłych słów, które ta sama osoba wypowiedziała przy innej okazji.

Wszystko to razem jest niebezpieczne, gdyż może przerodzić się u osób nerwowych w manię prześladowczą. Lepiej kierować się dobrą wolą i dobrym humorem, a chęć obrazy zachować wyłącznie tam, gdzie stała się ona faktem oczywistym.

Kultura towarzyska wymaga prócz dobrych manier także i dobrego serca, za które ludzie płacą chętnie szczerym i życzliwym uczuciem.

Słońce czynnikiem koniecznym dla zdrowia dziecka

Okres letni dla zdrowia dziecka jest bardzo niebezpieczny, ze względu na wzmożoną śmiertelność, która jest wynikiem panującej biegunki.

Aby się ustrzedz trzeba zachować bezwzględną czystość w otoczeniu i karmieniu dziecka. Dziecko należy wynosić na powietrze i słońce. Co do czasu przebywania dziecka na samym powietrzu niema żadnych ograniczeń. Ostrożność jest tylko potrzebna — co do czasu przebywania dziecka na samym słońcu. Począwszy od drugiego miesiąca życia, należy dziecko powoli do słońca przyzwyczajać, zaczynając od trzech do pięciu minut i stopniując codziennie od jeden do dwóch minut, aż do czasu, kiedy skóra wytworzy dosyć barwnika, czyli przyjmie ciemniejsze zabarwienie. Wówczas dziecko może się opalać znacznie dłużej, tzn. przebywać wprost na słońcu do 1 do 2 godzin bez szkody dla siebie. Skóra nasycona barwnikiem jakby pancerz, przez które promienie słoneczne przedostać się nie mogą.

Normalny ustrój człowieka wytwarza zawsze tym więcej barwnika w swojej skórze, im więcej promieni słonecznych działa na jego skórę.

Stąd pochodzi ciemniejsza skóra u ras południowych, a zupełnie czarna u ras podzwrotnikowych, czyli murzynów.

Przy wystawianiu niemowlęcia na słońce, pamiętać należy, że zbyt wczesne naświetlanie słońcem i zbyt duże dawki z samego porządku mogą wywołać bolesne zapalenie skóry, które występuje czasem jako pęcherzyki, napełnione surowiczym płynem.

Główka dziecka naturalnie zawsze winna być chroniona.

Jak ochronić futra od moli w lecie

Mole zaczynają się lęgnąć w marcu, z jajek zniesionych przed rokiem wylęganie trwa aż do lipca coraz nowymi partiami, a więc przez całe lato trwa niebezpieczeństwo zniszczenia garderoby. Jak walczyć z tymi szkodnikami? Najważniejsze jest częste trzepanie i wietrzenie wynoszenie ubrania i dywanów na słońce, gdyż mole nie znoszą silnego gorąca i zamierają. Poza tym, jeżeli mamy gwarancję szczelnego zabezpieczenia ubrania w zamkniętej skrzyni lub torbie papierowej (z grubego woskowanego panieru), to najlepiej jest złożyć tam futra, przesypawszy jeszcze czymś o zapachu, którego mole nie znoszą, a więc mielonym pieprzem, tytoniem fajkowym, pęczkami rośliny, zwanej na wsi bagnowcem. Futra przed chowaniem należy dokładnie obejrzeć.

Trzeba zaznaczyć, że mole nie będą się trzymać w farbowanych futrach, można ich więc nie chować do torebek, tylko często wietrzyć i zlekka wstrząsać (nie trzepać).

Coś o powiekach

Często po wytężonej pracy, lub szyciu powieki czerwienieją i następuje obrzęk czasami nawet długotrwały. Płatki waty, zmoczone w ciepłym wywarze rumianku zapobiegają temu.

Dobry jest również wywar z bławatków.

01049

KĄCIK DLA DZIECI

Zatopione miasto

Na Pomorzu wśród wielu pięknych jezior jest jedno, o którym bardzo dziwną opowiadają ludzie historię. Woda w tym jeziorze jest ciemna, prawie czarna, bo stare drzewa rosnące na brzegach zacieniają całe jezioro. Ale podobno nie tylko przez te drzewa, stare, ciemne i wysokie woda jest czarna i nieprzeźroczysta — mówią, że to król jeziora zaczarował wodę, aby nikt z luzi nie odkrył tajemnicy, która kryje się na dnie jeziora.

A było to tak: kiedyś bardzo, bardzo wiele lat temu w miejscu, gdzie dziś szemrze u stóp prastarych drzew tajemnicze jezioro, był tylko nieduży staw. Niedaleko od tego stawu wznosiło się miasto o ślicznych zameczkach i przepięknych kościołach, otoczone bardzo dobrze. Nie znali biedy ani smutku. Miasto było tak piękne i wesołe, że chyba musiało być kiedyś zaczarowane.

Pewnego roku na wiosnę zaczęły padać ogromne deszcze. Mały staw o jasno-zielonej wodzie powoli stawał się coraz większy i z dnia na dzień coraz bardziej przybliżał się do zaczarowanego miasta. Aż pewnego ranka woda zaczęła podmywać mury. Mieszkańcy w wielkiej trwodze poczęli dzwonić na alarm, ale pomoc, którą przysłano z sąsiednich miast nie mogła już uratować zatopionego miasta. Woda zalewała ulice. A stało się to tak nagle, że nie było zupełnie czasu na budowanie tratw czy łodzi.

I kiedy zrozpaczeni ludzie z przestrachem patrzyli jak woda podchodzi coraz to wyżej zjawiły się niespodziewanie trzy nimfy wodne, przyodziane w długie suknie z roślin z liśćmi nenufarów w zielonych włosach. Udały się wprost do burmistrza, który wraz z radnymi miejskimi myślał, jak zapobiec nieszczęściu.

— [illegible] martwcie się — powiedziała jedna, chociaż miasto zostanie zatopione, wam nic nie grozi. Będziecie żyli wraz z nami pod wodą i będzie wam dobrze. Jesteśmy wysłane przez wielkiego króla wód, który obiecuje wam opiekę i pomoc.

Burmistrz i radni bardzo zdumieni słuchali, a gdy nimfa zamilkła, jeden z radnych powiedział:

— No dobrze, ale przecież pod wodą nie można oddychać.

Na to nimfy roześmiały się, a obecnym wydało się, że to nie śmiech, tylko srebrzysty plusk wody.

— Nie bójcie się! Nauczymy was oddychać i żyć pod wodą. Popatrzcie na nas, przecież my żyjemy na dnie stawu od początku świata i wcale nieźle nam się powodzi. Idźcie teraz i uspokójcie mieszkańców miasta, nie stanie im się żadna krzywda.

Nimfy zniknęły. A ludzie nie chcieli wierzyć... ale człowiek w nieszczęściu chwyta się każdej nadziei, więc przestali się martwić i poszli opowiedzieć innym o wizycie nimf.

Jeszcze tego samego wieczoru, miasto zatonęło. Tam, gdzie dotąd wznosiły się piękne wieże kościołów pałaców nie było już nic prócz szafirowej wody.

I jeszcze przez wiele lat można było dojrzeć na dnie jeziora zarysy domów, ulic i kościołów. Później jednak małe drzewka, rosnące nad brzegiem pozamieniały się w duże poważne drzewa, ich ciemne liście ocieniały wodę — a może rzeczywiście król wód dolał do jeziora jakiejś czarnej farby, aby nie można było dojrzeć jaką to tajemnicę kryje jezioro na dnie.

I znowu minęło wiele, wiele lat od zatopienia miasta, kiedy nad tajemniczym jeziorem bardzo dziwny zdarzył się wypadek.

Pewien wieśniak, wracając około północy drogą nad jeziorem usłyszał nagle jakieś dzwonienie. Zupełnie tak, jakby naraz zadzwoniono w bardzo wielu kościołach. Ale tak pięknego dzwonienia wieśniak jeszcze nigdy w życiu nie słyszał. Wieśniak bardzo zdumiony i trochę przerażony zatrzymał się i począł nasłuchiwać.

Dzwonienie najwyraźniej pochodziło z jeziora.

Wieśniak zszedł więc na sam brzeg i jakież było jego zdziwienie, gdy zauważył na jeziorze w świetle księżyca pływające dzwony, różnych wielkości. Były tam piękne, ogromne dzwony kościelne i mniejsze dzwony od bram i zupełnie małe dzwoneczki od furtek klasztornych.

Wieśniak odwiązał stojące przy brzegu czółno, wsiadł i podpłynął do najbliższych dzwonów. Wyciągnął rękę: nie, oszukał go księżyc ani nie zawiodła noc — to były dzwony prawdziwe.

Uniósł jeden z nich i włożył go do czółna, o mało się przytym nie wywrócił, bo dzwon był bardzo ciężki. Gdy chciał sięgnąć po drugi — zauważył nagle, że jezioro jest puste, wszystkie dzwony znikły, tylko gdzie niegdzie marszczyła się woda, jakby ktoś dopiero co wrzucił kamień.

— Dziwne czary — powiedział wieśniak półgłosem — a woda odpowiedziała mu echem.

— Dziwne czary — powtórzył las — dziwne czary zaśpiewał dzwon na czółnie.

Wieśniak dopłynął do brzegu i wziąwszy dzwon na plecy szybko podążył do pobliskiego miasta.

Na drugi dzień zaczarowany dzwon powieszono na najwyższej wieży kościelnej. Miał on głos tak piękny, że wszystkie dzwony w całym mieście mu zazdrościły. Mieszkańcy z podziwem słuchali cudownego dzwonienia i ze zdumieniem powtarzali sobie historię pływających dzwonów.

Ale nikt i[illegible] później nie widział żadnych dzwonów na jeziorze, choć wielu było ciekawych, którzy chodzili nocą nad jezioro. Mówili wprawdzie, że słyszeli jakieś dzwonienie, ale to pewnie leśne dzwonki dzwoniły sobie dla żartu, a wcale nie dzwony z jeziora. Nikt więc nie mógł zrozumieć skąd się wzięły na jeziorze dzwony owego wieczoru, kiedy to wieśniak przyniósł jeden z nich do miasta.

Aż pewnego dnia zaczarowany dzwon zdradził tajemnicę. Kiedy wieśniak, który w nagrodę za znalezienie dzwonu został dzwonnikiem, naprawiał pewnego dnia sznur, wysoko na wieży, usłyszał nagle, jak dzwon odezwał się ludzkim głosem:

— Nie chcę dłużej trzymać ludzi w niepewności, dostałem dziś wiadomość od króla wód, pozwolił zdradzić ludziom naszą tajemnicę. Raz do roku w księżycową noc, wypływają wszystkie dzwony z zatopionego miasta na powierzchnie. Jeśli zauważył je jakiś człowiek, a musi to być człowiek dobry i uczciwy, król wód pozwala zabrać jeden dzwon na ziemię. Miasto, do którego dostanie się jeden z zatopionych dz[illegible]onów jest miastem wybranym.

Mieszkańcom jego będzie się zawsze dobrze powodziło i będą bardzo szczęśliwi.

Dzwonnik ucieszył się bardzo, ale po chwili zapytał jeszcze:

— A w którą to noc dzwony wypływają na powierzchnię jeziora?

— [illegible] wolno mi powiedzieć — odparł dzwon poważnie — zresztą dla twego miasta wystarczy jeden dzwon, nie powinniście się strać o więcej, nie trzeba się narażać królowi wód.

Dzwon zamilkł i nigdy już więcej nie odezwał się ludzkim głosem.

Dzwonnik powtórzył opowiadania dzwonu wszystkim mieszkańcom miasta i nikt już nie szukał nocą dzwonów na jeziorze.

Ale gdy dowiedzieli się o tym mieszkańcy miast sąsiednich prawie co noc czynili wyprawy nad zaczarowane jezioro. Nic jednak nie zobaczyli szczególnego.

Widocznie mało naprawdę dobrych ludzi szukało zaczarowanych dzwonów.

Dwa koła

Przed gankiem stała bryczka, którą pan doktór miał za chwilę pojechać do miasta.

Tylne koła bryczki były większe, a przednie mniejsze.

Powiada większe, tylne koło, do mniejszego, przedniego:

— Odsuń się, bo mi zasłaniasz widok.

— Nie odsunę się!

— A ja ci mówię — odsuń się! Mniejszy musi słuchać większego.

— Właśnie, że nieprawda. Słuchać trzeba tylko starszego i mądrzejszego.

Słysząc te słowa tylne koło, ogromnie się rozgniewało:

— Już ja cię nauczę posłuszeństwa! Popamiętasz mnie!

Bryczka potoczyła się po szosie.

Większe koło zaczęło gonić mniejsze. Chociaż dzieliła je odległość zaledwie pół kroku, tylne koło zawsze i wciąż pozostawało w tyle.

— No, dogoń mnie, — mówiło przednie koło i wesoło szczerzyło wszystkie szprychy.

— Zaraz cię złapię! Odpowiadało tylne koło i zwiększało coraz to szybkość. Odległość jednak ciągle pozostawała ta sama.

Gonitwa trwała aż do samego Sandomierza, gdzie właśnie bryczka się zatrzymała.

Wtedy mniejsze koło powiedziało:

— A widzisz, kto miał rację? Słuchać trzeba tylko starszych i mądrzejszych. Ty zaś jesteś duże, ale głupie.

Tylne koło wpadło w taki gniew, że aż mu ze złości pękła obręcz i trzeba je było oddać do kołodzieja do naprawy.

Może wróci stamtąd mądrzejsze, niż było przedtem.

Czego się Janek od leśnego duszka nauczył

Janek nie był zadowolony ze swego losu. Codzień rano o bladym świcie, kiedy jeszcze tak chętnie pospałby sobie troszkę, budziła go matka do szkoły. Szkoła była daleko, szło się do niej więcej jak pół godziny, a przed wyjściem trzeba było jeszcze matce pomóc przy gospodarstwie, posprzątać izbę, nakarmić kury i świnie.

W szkole znowu musiał Janek uważać, uczyć się, nie wolno było krzyczeć dokazykać ani płatać figlów. Popołudniu w domu to samo: pomagać matce, a później uczyć się. A Janek z natury wielkim był leniuszkiem. Nie był więc wcale ze swego losu zadowolony.

Pewnego r[illegible] idąc doszkoły tak do siebie mówił półgłosem:

— Ach tak to przyjemnie musi być ludziom dorosłym. Jakbym ja chciał być na przykład żołnierzem. Nosić mundur, maszerować, strzelać z karabinu, chodzić na defilady i mieć taką piękną żołnierską czapkę. Przecież taki żołnierz nie ma wcale kłopotów, nie musi się uczyć ani pracować.

Albo jakby to pięknie było być gospodarzem. Mieć dużo pieniędzy, samemu jeździć na jarmark sprzedawać świnie i konie. Albo, no chociażby być gajowym, pilnować lasu, albo pisarzem gminnym — nikogo nie potrzeba słuchać, ach i nie trzeba się uczyć.

W tem Janek usłyszał, że ktoś go wołał po imieniu, rozejrzał się i dostrzegł siedzącego na drzewie, maleńkiego duszka leśnego.

— Co chcesz ode mnie — zapytał niezbyt grzecznie, przecież widzisz, że śpieszę się do szkoły.

— Tak znowu bardzo nie śpieszy ci się do szkoły Janku — odpowiedział Duszek wesoło — słyszę, że nie jesteś zadowolony ze swego losu, chciałbym ci dopomóc. Jeśli chcesz, to zaraz zrobię cię żołnierzem.

— Czy ty to aby potrafisz? — zapytał z niedowierzaniem Janek. I w tej samej chwili poczuł, że coś się z nim dzieje dziwnego. Zniknęło nagle pole i las, gdzieś się podziała teczka z książkami, zwykłe ubranie. Janek znalazł się na dużym placu wśród maszerujących żołnierzy. Sam był duży, w pięknym mundurze. Żołnierze maszerowali równo, śpiewając, ale Janek nie mógł im nadążyć, albo znowu szedł za prędko. Sąsiedzi śmiali się z niego i pokazywali go palcami. Chciał śpiewać razem ze wszystkimi, ale nie umiał piosenki.

Śpiewając wszyscy doszli do czerwonego budynku i weszli do dużej sali. Zaczął się wykład, z którego Janek nic a nic nie rozumiał, a później pan kapitan wyrwał żołnierzy i pytał o różne bardzo trudne rzeczy, Janek cały drżący kulił się na ławce w obawie, aby przypadkiem i jego nie wyrwał pan kapitan, bo przecież nie mógłby nic odpowiedzieć i byłby wielki wstyd.

— Duszku, Duszku — zaczął szeptać cichutko — Duszku, ratuj mnie.

I oto wszystko zawirowało dookoła i Janek znowu znalazł się na polu pod lasem, obok drzewa gdzie zaczepił go Duszek.

— [illegible] widzisz Janku, że nie tak łatwo być żołnierzem, trzeba się na to wielu rzeczy nauczyć i trzeba być starszym, a życie żołnierza też nie jest łatwe, musi pracować i uczyć się aby być dobrym [illegible]prawdziwym żołnierzem.

— No tak Duszku — ale na przykład być gospodarzem, to przecież nic trudnego. Duszku kochany, zrób mnie gospodarzem.

I znowu Janek stał się duży, znowu zniknęła teczka i las i Duszek, Janek jechał wozem, wioząc na jarmark trzy tłuste świnie.

Przyjechał do miasteczka bardzo zadowolony. Ale bardzo szybko minęła radość. Wcale nie tak łatwo było sprzedać świnie, choć były bardzo tłuste. Janek nie znał cen, nie wiedział wogóle jak się do tego zabrać. W końcu sprzedał świnie, ale bardzo mało dostał pieniędzy, a miał sporo wydatków. Musiał wstąpić do kowala, bo koń zgubił podkowę. Musiał kupić sporo rzeczy do domu — inni wieśniacy śmiali się z niego, że tak mało wziął pieniędzy za takie piękne świnie. Jankowi bardzo było wstyd i prawdę powiedziawszy miał już zupełnie dosyć swoeje rosłości. Znowu zaczął wzywać Duszka i znowu znalazł się koło drzewa na polu.

— Czy chciałbyś jeszcze zostać pisarzem gminy, lub gajowym spytał Janka z uśmiechem Duszek.

Janek zaczerwienił się i po chwili odpowiedział:

— Nie Duszku, nie chcę być ani pisarzem, bo widocznie na wsi wogóle ludziom nie może być dobrze. Chciałbym być urzędnikiem w mieście na kolejowej stacji, takim, który sprzedaje bilety.

— Dobrze, powiedział Duszek, ale to już ostatnia próba.

I znowu Janek duży, dorosły, siedział przy okienku na stacji i czekał na pasażerów. Tuż przed odejściem pociągu bardzo dużo ludzi zebrało się przy kasie. Janek nie mógł sobie zupełnie dać rady, nie wiedział, ile kosztuje jaki bilet, nie umiał wydawać reszty. Wszyscy gniewali się na niego, krzyczeli, że spóźnią się na pociąg. I znowu Janek bardzo szybko miał dosyć swojej d[illegible]słości. Wołał Duszka.

Gdy poraz trzeci znalazł si[illegible]lu znowu jako mały chłopiec z [illegible] na bosaka — już naprawdę nie [illegible] być dorosłym.

— Widzisz, powiedział Duszek [illegible] nie trzeba pragnąć rzeczy niemożliwych, trzeba umieć być szczęśliwym z tym, co się ma. Gdy będziesz dorosły, również czeka cię wiele trosk i kłopotów, ale jeśli teraz będziesz uczył się pilnie, to kiedyś doskonale dasz sobie ze wszystkim radę.

Janek podziękował Duszkowi za dobrą lekcję. I od tego dnia zmienił się do niepoznania. Uczył się doskonale, chętnie pomagał matce, z radością chodził do szkoły. I nigdy już nie pragnął przeskoczyć lat, stać się odrazu dorosłym.

— Chyba go jaki duszek zaczarował — dziwiła się matka.

A Janek uśmiechnął się tylko, podnosząc wesołe oczy z nad książki od rachupnków.

Książnica Kopernikańska
w Toruniu